

TEKST JULIUSZ ĆWIELUCH
ZDJĘCIA PRZEMYSŁAW POKRYCKI

Umówić się na spotkanie z braćmi Millerami to niełatwa sztuka. – Obecnie negocjujemy kontrakt z Włochami. Przerwę na kawę zrobimy o 10.45. Lunch zaplanowany jest o godzinie 14.15. Proszę mnie łapać w tych przerwach, to ustalimy datę – mówi Jan Miller i kończy rozmowę, bo ma już drugie połączenie. Aż trudno uwierzyć, że Millerowie produkują trumny, a nie są szefami międzynarodowego koncernu. Ale w branży pogrzebowej Jan i Marian Millerowie to wzory do naśladowania.

– Ja zawsze powtarzam, że u nas w branży są Millerowie, później długo nic i cała reszta – mówi Łukasz Koperski, prezes Polskiej Izby Przedsiębiorców Branży Pogrzebowej. Na swoją dzisiejszą pozycję rodzina Millerów pracuje od czterech pokoleń. Już pod koniec XIX wieku w Łodzi przy ulicy Przejazd 24 Ignacy Miller prowadził zakład pogrzebowy. Grabarz w tamtych czasach musiał być samowystarczalny. Na jego głowie był nie tylko pochówek, lecz także zrobienie trumny. Tej sztuki Ignacy nauczył swego syna Ignacego Jakuba, który przeprowadził firmę do Turku (Wielkopolskie). Po ojcu przejął ją Zbigniew i przekazał Janowi i Marianowi, którzy z produkcji trumien zrobili prawdziwy biznes.

BRELOCZEK Z TRUMIENKĄ

Każdy, kto robił interesy z Millerami, wie, że zyskiem dzielą się po połowie, ale w firmie panuje ścisły podział. – Jan jest od myślenia. Marian swoje królestwo ma na produkcji – mówi jeden z ludzi z branży.

Już po wystroju gabinetu widać, że Jan Miller swoją profesję traktuje poważnie. Klasyczny regał zdobią dwie miniaturowe trumien w stylu włoskim – gadzety reklamowe. Na kontrahentów czekają breloczki z miniaturowymi trumnami. – Czas są ciężkie. Recesja dotknęła wszystkich, przemysł pogrzebowy również – mówi Jan Miller. Ponad 20 lat temu razem z bratem Marianem na bazie małego zakładu pogrzebowego stworzył Stoltur, największą w tej części Europy fabrykę produkującą trumny. Dziś zatrudniają prawie 130 osób.

Zakład pogrzebowy otwarty jeszcze przez Zbigniewa Millera ciągle funkcjonuje. – Dochód z tego żaden, ale ojciec by się w grobie przewrócił, jakbyśmy zamknęli zakład – tłumaczy Jan Miller.

Kiedy zaczęli, na rynku była totalna posucha. Ludzie pamiętają, że na półkach stał tylko ocet. Zapominają, że oprócz braku butów i wszystkiego innego był straszny problem z trumnami. W tę niszę weszli Millerowie – tu-

Tajemnicą sukcesu **MILLERÓW** jest bycie w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, oczywiście z odpowiednią trumną

maczy człowiek z branży. A kiedy interes na trumnach zwietrzyli inni, Millerowie byli już o dwie długości przed nimi. – Szybko nawiązali kontakty z zagranicznymi kontrahentami i rozślawili Polskę jakością swoich trumien – mówi Łukasz Koperski. W zeszłym roku 87 procent produkcji Stolturu sprzedano do krajów Unii Europejskiej. Najwięcej do Niemiec.

STRATY WOJENNE

Od kilku lat branża niechętnym okiem patrzy na uruchamianie kolejnych pieców krematoryjnych w Polsce. I nie ma się co dziwić. Pierwsze krematorium w Europie otwarto 22 stycznia 1876 r. w Mediolanie. Dziś działa już tysiąc takich pieców. Kremacji poddawanych jest 77 procent zmarłych Czechów. W Polsce zaledwie trzy procent populacji, ale wielu młodych deklaruje, że po śmierci chcą być spopieleni. To kwestia czasu, kiedy większość z nas trafi do urn. – A na takim pogrzebie ani się nie zarobi, ani dobrej trumny nie sprzeda – martwią się właściciele zakładów pogrzebowych.

Ale Millerowie znów są o dwie długości do przodu. – Właśnie wprowadzamy do naszej oferty piękną trumnę z płyty wiórowej. Nikt nie zauważy różnicy, a spełnia wszelkie wymogi Unii Europejskiej przewidziane dla trumien krematoryjnych – mówi Marian Miller. Wszystkiego jednak przewidzieć się nie da. – Mało osób zdaje sobie sprawę, że ciągle jeszcze odczuwamy skutki II wojny światowej. Te kilka milionów, które wówczas zginęły, mogło dożyć spokojnej starości i zostaliby godnie pochowani w naszych trumnach. Zamiast tego mamy kilkumilionowy niedobór – martwi się Jan Miller. Na dodatek w Europie zmniejszyła się umieralność. – Kilkanaście lat temu przyjmowało się, że rocznie umiera jeden procent populacji. Teraz dzięki medycynie i jakości życia umiera 0,8 procent. W liczbach to ogromne ilości – narzeka Jan Miller.

GWOŹDZIE TO PORAZKA

Kiedy Millerowie oprowadzają po swoim zakładzie, podobno jęku zazdrości



ZIĘ KTÓRZY ŻYJĄ Z TRUMIEN

Bracia Marian
(z lewej)
i Jan Millerowie,
producenci
trumien z Turku



Zrobić trumnę to sztuka. Tu nie ma kątów prostych. Same krzywizny, skosy i wypukłości

nie kryją nawet Niemcy. – W maju 2003 roku oddaliśmy linię produkcyjną wartą 1,5 miliona euro – mówi Marian Miller. Linia firmy Weinig jest pod stałym dozorem producenta. Komputer automatycznie przesyła internetem dane do Niemiec, gdzie wyłapuje się wszelkie odchylenia od normy. Pilarka Raimann krzywiznę deski ocenia za pomocą wiązki lasera. – Trumna to jeden z najtrudniejszych przedmiotów do wykonania. Taboret czy regał to łatwizna. Zrobić trumnę to sztuka. Tutaj nie ma kątów prostych. Same krzywizny, skosy i wypukłości – tłumaczy Jan Miller. W produktach Stolturno próżno można szukać gwoździ. – Trumna z widocznymi gwoździami to porażka – zapewnia Marian Miller. A wie, o czym mówi. Swoją pierwszą trumnę zrobił, jak miał 18 lat.

Dzięki nowoczesnym maszynom firma może wyprodukować blisko 2,5 tysiąca trumien miesięcznie. – I możemy zwiększyć produkcję. W tej branży jest sezonowość. Z reguły zamówienia są większe w czasie zmian pór roku. Pomimo postępu życie ludzkie ciągle uzależnione jest od pogody – dodaje senior rodu.

HITY RYNKU TRUMNIARSKIEGO

Mimo że Stolturno to niemal trumniarski kombinat, bracia Millerowie każdego, nawet drobnego klienta traktują z szacunkiem. Szczególnie upodobali ich sobie Cyganie, dla których Jan jeszcze przed sukcesem Stolturno robił meble kuchenne. Później Millerowie zaczęli chować ich bliskich. Do dziś w magazynie czeka trumna na jedną z najbogatszych Cyganiek w okolicy. Rodzina złożyła zamówienie, kiedy z kobietą było źle, ale po zrobieniu trumny chorej się poprawiło.

Jan Miller o zamówieniach indywidualnych mówi niechętnie. – To osobista sprawa każdego klienta – tłumaczy. Ale wiadomo, że Polacy w kwestii pogrzebów i trumien specjalnej fantazji nie przejawiają. Trumna w kształcie samochodu czy komórki to wybryki zupełnie nie w polskim stylu. – Kiedyś zdarzył się klient, który całe życie jeździł perłowym mercedesem metalik, więc i trumna miała być dokładnie w takim kolorze. Ale to rzadkość – zdradza właściciel dużego zakładu pogrzebowego z Warszawy. Powoli jednak i nasz gust ewoluuje. – Jeszcze kilkanaście lat temu hitem na naszym rynku były trumny typu niemieckiego. Wysokie, masywne i strzeliste. Teraz Polacy preferują typ włoski. Płaskie, łamane na wysokości ramion – zdradza Jan Miller.

EROS I TANATOS

Millerowie to jedna z najbardziej szanowanych rodzin w Turku. – Może trumna nie jest szczególnie dobra do reklamowania, ale pięknie promują miasto, i to za granicą – chwali Zdzisław Czapla, burmistrz Turku. Mieszkańcy tak się do Stolturno przyzwyczaili, że jedyna oficjalna agencja towarzyska w mieście sąsiaduje z fabryką trumien przez płot. Ze swojego gabinetu Jan Miller ma piękny widok na sztyl z roznegliżowanymi paniami. Już kilka razy próbował wykupić i zlikwidować dom schadzki, ale właścicielka jest nieugięta.

Największy jednak cios zadali braciom Millerom pracownicy ich firmy. Na niemieckiej granicy złapano dwóch kierowców, którzy w trumnach przemycali pięciu Ukraińców. – Byłem w szoku – mówi Jan Miller. Kierowcy zarzekają się, że o niczym nie wiedzieli. A Ukraińcy jakoby schowali się w trumnach, kiedy oni czekali na odprawę celną.

Ludzie w Turku stoją za Millerami murem. Nie ma się co dziwić. Teczka z podziękowaniami za pomoc charytatywną pęka w szwach. Ludziom nie przeszkadza, że bracia rzadko się uśmiechają. Było nie było wychowali się przy zakładzie pogrzebowym. – Miałem dryg do malowania. Ojciec dawał mi do malowania szarfy do wieńców albo wypisywałem tabliczki na trumny – wspomina Jan. Na śmiech zdobył się dopiero, kiedy spytałem, czy tak samo jak Leszka Millera poznaje się go po tym, jak kończy? – Od Leszka Millera zdecydowanie się różnię. W kończeniu na pewno jestem lepszy.

– Twardo stąpają po ziemi. Nic im z nieba nie spadło – podziwiają Millerów ludzie z Turku. Jan do końca życia będzie miał pamiątkę, ile kosztował go sukces. Brakuje mu dwóch palców lewej dłoni. Stracił je w 1986 roku. – Pamiętam

jak dziś. To była sobota, godzina 17. Moi koledzy siedzieli pewnie z piwem przed telewizorem, a ja byłem na robocie u klientki. Kładłem jej po godzinach boazerię. Chwila nieuwagi i cała ściana we krwi – opowiada. W tamtych czasach pracował po 17 godzin dziennie. Krążąc od klienta do klienta, zajęzdził granatowego małego fiata. Teraz jeździ mercedesem S 400, ale pod względem pracowitości niewiele się zmieniło. W bagażniku zawsze ma kilka puszek napoju energetyzującego, bo w biznesie nie ma czasu na odpoczynek.

Młodszy o dwa lata Marian mówi o sobie niechętnie. Od brata zdecydowanie różni się temperamentem. Jan jest przebojowy, Marian woli stać z boku. Po technikum zaczął pracę w zakładzie ojca. Wiedzę o drewnie i trumnach ma w małym palcu.

50-letni Jan Miller przed pójściem na emeryturę chce być w pierwszej piątce producentów trumien w Europie. Bracia liczą, że będą mogli nieco odpocząć dopiero, gdy zgodnie z rodzinną tradycją firmę przejmą synowie. Jędrzej Miller ma zaledwie 23 lata. – Jest w Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. My zbudowaliśmy firmę własnymi rękami, on będzie ją rozbudowywał głową – mówi Jan Miller. Piotruś, syn Mariana, ma dopiero 10 lat, ale ojciec jest przekonany, że i on nie zawiedzie oczekiwania.

JULIUSZ ĆWIELUCH